

**PANI
BOVARY**
**GUSTAVE
FLAUBERT**

Przełożyła Aniela Micińska

**MARGINESY
KLASYCZNIE**

Madame Bovary

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Anna Dubowska-Grynberg, Bolesław Dubowski

COPYRIGHT © FOR THIS EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

CZĘŚĆ PIERWSZA

Odrabialiśmy lekcje, kiedy wszedł dyrektor, a za nim nowy ubrany po miejsku i chłopak do posług z dużym pulpitem. Drzemiący przebudzili się i wszyscy zerwaliśmy się jakby zaskoczeni przy pracy.

Dyrektor skinieniem kazał nam usiąść, po czym zwracając się do wychowawcy:

– Panie Roger – powiedział półgłosem – polecam panu tego ucznia, przyjęty jest do piątej. Jeśli wyróżni się wzorowym zachowaniem i pracą, przejdzie do starszych, dokąd go już wiek powołuje.

Nowy, pozostawiony w kącie za drzwiami, tak że ledwie go było widać, był to chłopiec ze wsi, lat około piętnastu, wyższy od każdego z nas. Miał włosy obcięte równo nad czołem, jak wiejski ministrant, minę roztrofną i bardzo zakłopotaną. Choć barczysty nie był, jego zielona sukienka kurtka z czarnymi guzikami wpijała mu się mocno w ramiona, a spod mankietów wyzierały, nienawykłe do odzieży, czerwone przeguby. Z żółtawych, wysoko na szelkach podciągniętych spodni wysuwały się nogi w niebieskich pończochach. Grube, źle oczyszczone buty podbite były gwoździami.

Rozpoczęło się wydawanie lekcji. Słuchał, pilnie nadstawiając uszu, jak na kazaniu. Nie śmiał ani nóg skrzyżować,

ani oprzeć się na łokciu, a gdy o drugiej rozległ się dzwonek, wychowawca musiał mu zwrócić uwagę, że pora stanąć z nami w szeregu.

Mieliśmy zwyczaj, wchodząc do klasy, rzucać czapki na ziemię, by mieć potem wolniejsze ręce. Należało już od progu cisnąć je pod ławkę w taki sposób, żeby uderzyły o ścianę, wzniciając tumany kurzu; taki był nasz fa s o n.

Nowy jednak nie zauważył tego, czy też nie śmiał zastosować się do naszego obyczaju, dość, że po skończonej modlitwie siedział jeszcze z czapką na kolanach. Skomplikowane to było nakrycie głowy, coś niby czapka futrzana, rogatywka, okrągły kapelusz i czepek bawełniany jednocześnie; słowem, jedna z tych ubogich rzeczy, których niema brzydota wielką ma siłę wyrazu, jak twarz głupca. Jajowata, wydęta przez fiszbiny, zaczynała się trzema równoległymi wałeczkami; potem, przedzielone czerwonym pasem, biegły na przemian rąby aksamitu i zajęczej skóry, a wreszcie następował rodzaj woreczka zakończonego kartonowym wielobokiem zdobnym w skomplikowany deseń z sutaszu. Stamtąd, na długim a zbyt cienkim sznureczku zwiisał złoty chwaścik. Była nowa, daszek jej błyszczał.

– Wstań – powiedział profesor.

Wstał, czapka spadła. Klasa wybuchła śmiechem.

Schylił się, by ją podnieść. Sąsiad strącił ją łokciem, nowy podniósł ją raz jeszcze.

– Zostawże ten hełm! – powiedział profesor, który był człowiekiem dowcipnym.

Uczniowie znów ryknęli śmiechem, a biedny chłopiec tak się stropił, że już sam nie wiedział, czy ma czapkę trzymać

w rękę, czy zostawić na ziemi, czy włożyć na głowę. Wreszcie usiadł, kładąc ją sobie na kolanach.

– Wstań – powtórzył profesor – i powiedz, jak się nazywasz.

Nowy wybełkotał coś niezrozumiałego.

– Powtórz.

I znów ten sam nieartykułowany bełkot zagłuszony wrzaskami klasy.

– Głośniej – krzyknął profesor. – Głośniej!

Wówczas nowy powziął jakby ostateczną decyzję, otworzył usta, jak mógł najszerzej, i rzucił z głębi płuc, niby okrzyk, słowo: Karbovary.

Odpowiedział mu wrzask i piski, wzrastające wciąż *crescendo* (wyli, szczekali, tupali nogami, powtarzając: Karbovary! Karbovary!). Z czasem w milknącej z trudem wrzawie odróżnić dały się poszczególne głosy, to znów, jakby źle ugaszona petarda, wytryskał w jakiejś ławce tłumiony wybuch śmiechu.

Grad zadanych za karę ćwiczeń uciszył jednak klasę i do profesora dotarło wreszcie imię Karola Bovary. Musiał je podyktować, przesylabizować, odczytać. Po czym profesor kazał biedakowi zasiąść w osłej ławce, u stóp katedry. Bovary wstał, ale zawahał się.

– Czego szukasz? – spytał profesor.

– Mojej czap... – szepnęła nieśmiało nowy, rzucając do koła niepewne spojrzenia.

– Pięćset wierszy za karę, cała klasa! – Ten wściekły okrzyk powstrzymał, niby *Quos ego...*^{*}, nową burzę. – Siedz-

* Tymi słowami Neptun ucisza burzę morską (*Eneida* I, 135).

cież spokojnie – napominał zgorszony profesor, wycierając czoło wyjętą z kapelusza chustką. – A co do ciebie, n o w y, to przepisziesz mi dwadzieścia razy: *ridiculus sum**. – Potem łagodniejszym już głosem: – A o czapkę bądź spokojny, znajdzie się, nikt ci jej nie ukradł.

Wróciła cisza. Głowy pochyliły się nad zeszytami, a n o w y wytrwał we wzorowej postawie całe dwie godziny, choć od czasu do czasu kulki papieru, rzucane zręcznie końcem pióra, obryzgiwały go atramentem. Wycierał twarz dłonią i siedział nieruchomo ze spuszczoneymi oczyma.

Wieczorem w sali, gdzie odrabialiśmy lekcje, wyciągnął z pulpitu ochraniacze na rękawy, poukladał swoje drobiazgi i starannie poliniował papier. Widzieliśmy, jak zadając sobie wiele trudu, wertował słownik, pilnie wyszukując słowa. Zapewne dzięki dobrej woli, której dał dowody, nie przeniesiono go do niższej klasy, bo chociaż gramatykę znał nieźle, zdania jego były pozbawione elegancji. Początki łaciny zawdzięczał wiejskiemu proboszczowi, gdyż rodzice przez oszczędność posłali go do szkoły, jak mogli najpóźniej.

Ojciec jego, pan Karol Dionizy Bartłomiej Bovary, był chirurg wojskowy, popełniwszy nadużycia w roku 1812 przy poborze rekruta, zmuszony był służbę opuścić. Wykorzystał wówczas swe wdzięki, chwytając w lot sześćdziesięciotysięczny posag, który mu się nawinął w osobie córki kupca czapnika, rozkochanej w jego zgrabnej figurze. Urodziwy samochwał głośno dzwonił ostrogami, nosił faworyty sięgające wąsów, a na palcach pełno pierścionków, ubierał się jaskrawo i marsowy wygląd łączył z poufałym obejściem komiwoja-

* Łac. Jestem śmieszny.

żera. Dwa czy trzy lata po ślubie żył z fortuny żony, jadał dobrze, wstawał późno, palił tytoń w dużych porcelanowych fajkach, przesiadywał w kawiarniach, a do domu wracał wieczorem, dopiero po skończonym spektaklu. Teść jego umarł, nic mu prawie nie zostawiając. Bovary był oburzony. Rzucił się w wir interesów, stracił część majątku w manufakturze i wycofał się na wieś: chciał gospodarować. Ale że na uprawie roli znał się nie lepiej niż na perkalikach, zajeżdżał konie, zamiast je posyłać do pług, spijał jabłecznik w butelkach, zamiast sprzedawać go beczkami, zjadał najpiękniejsze okazy drobiu, a buty do polowania smarował sadłem z własnych wieprzy, spostrzegł więc wkrótce, że lepiej dać spokój wszelkiej spekulacji.

Za cenę dwustu franków rocznie wynajął w okolicznej wsi, na pograniczu Caux i Pikardii, sadybę, pół fermę, pół dworek, i tam zamknął się w wieku lat czterdziestu pięciu, smutny, zgorzkniały, złorzecząc niebu, pełen żalu do wszystkich, twierdząc, że jest zniechęcony do ludzi i pragnie żyć w spokoju.

Żona szalała niegdyś za nim, ale jej miłość niewolnicza jeszcze bardziej go od niej odstręczała. Wesoła, pełna życia, kochająca, na starość (niby zwietrzałe wino, które zmienia się w ocet) stała się trudna w pożyciu, wrzaskliwa, nerwowa. Tyle się kiedyś nacierpiąta bez skarg, kiedy gonił za wszystkimi spódniczkami we wsi, kiedy wracał wieczorem nie wiedzieć skąd, złajdaczony i cuchnący winem, aż wreszcie zbuntowała się w niej duma. Umilkła, dławiąc wściekłość z niemym stoicyzmem, i wytrwała tak do śmierci. Stale miała jakieś pilne sprawy do załatwienia, bywała u rejenta, u prezesa sądu, pamiętała o terminach płatności, uzyskiwała prolongaty,

a w domu prasowała, szyła, prała, dozorowała robotników, płaciła rachunki. Tymczasem zaś pan małżonek, nie troszcząc się o nic, nadąsany, drzemał apatycznie, budził się tylko po to, żeby powiedzieć jej coś przykrego, i całymi dniami wysiadywał przy kominku, paląc fajkę i spluwając w popiół.

Kiedy urodziło im się dziecko, oddano je do mamy, a potem w domu rozpieszczano brzdąca jak książętko. Matka karmiła go konfiturami, ojciec pozwalał biegać boszo i pozując na filozofa, mawiał nawet, że malec mógłby chodzić całkiem nago jak zwierzątko. Wyrobił sobie, w przeciwieństwie do pragnień matczynych, ideał dziecka pełnego męskości i wedle tego ideału chciał wychować syna surowo, po spartańsku, aby miał mocną budowę. Kazał mu sypiać w nieopalanym pokoju, nauczył pić rum wielkimi łykami i wyśmiewać się z procesji. Ale mały, z natury łagodny, nie był odpowiednim materiałem dla jego metod. Nie odstępował matki; bawiła go wycinkami z tektury, opowiadała bajki – był to niekończący się monolog pełen melancholijnej wesołości i szczebiotliwych przymilań. W swym samotnym życiu przeniosła na tę główkę dziecinną całą swą próżność, wszystkie zawiedzione nadzieje. Marzyła o wybitnych stanowiskach, widziała go już roslym, pięknym, mądrym, dobrze sytuowanym, sędzią lub inżynierem. Nauczyła go czytać i nawet grać kilka krótkich piosenek na starym fortepianie. Ale pan Bovary lekceważył sztuki piękne, mówił, że „na nic się to wszystko nie zda”. Bo czyż będą mieli kiedy na to, by opłacić szkoły państwowe albo kupić mu stanowisko urzędnika czy też sklep? Zresztą męzczyzna „byle miał pewność siebie, zawsze do czegoś na tym świecie dojdzie”. Pani Bovary zagryzała wargi, a dzieciak wałęsał się po wsi.

Chodził za pługiem i grudkami ziemi ciskał w odlatujące wrony. Jadł ożyny rosnące wzdłuż rowów, poganiał żerdział indyki, grabił siano, biegał po lesie, gdy była słota, grał w klasy pod kościelną kruchtą, a w uroczyste święta błagał zakrystiana, by wolno mu było zadzwonić. Wieształ się wtedy całym ciałem na grubym sznurze, a wielki dzwon unosił go w swym locie.

Toteż rósł jak dąb. Miał mocne ręce i rumiane policzki.

Wreszcie kiedy skończył dwanaście lat, matka dopięła swego: zaczął się uczyć. Obarczono tym proboszcza. Ale lekcje były tak krótkie i nieregularne, że niewielki był z nich pożytek. Odbываły się w jakichś przypadkowych okolicznościach, w zakrystii, na stojąco, w pośpiechu między chrzcinaami a pogrzebem; czasem znów proboszcz posyłał po chłopca wieczorem, gdy odmówił już Anioł Pański i nie miał nic innego do roboty. Wchodzili wówczas na górę, zasiadali w jego pokoju, muszki i ćmy kręciły się wokół świecy, ciepło było, dziecko zasypiało, a staruszek, drzemiąc z rękoma na brzuchu, zaczynał wkrótce chrapać z otwartymi ustami. Zdarzało się też, że proboszcz, gdy wracał z wiatykiem od chorego z pobliskiej wsi, spotykał Karola uganiającego się po polach; wołał go, napominał przez kwadrans i korzystając z okazji, kazał mu u stóp drzewa odmieniać jakiś czasownik. Przerzywał im deszcz albo znajomy przechodzień. Zresztą proboszcz zawsze był z chłopca zadowolony i mówił nawet, że „młodzieniec” ma świetną pamięć.

Ale Karol nie mógł na tym poprzestać. Pani była energiczna. Zawstydzony, a może zniechęcony, mąż ustąpił bez oporu. Poczekano rok, by chłopak przygotował się do pierwszej komunii.

Minęło jeszcze sześć miesięcy i z początkiem następnego roku Karol został wysłany do gimnazjum w Rouen. Ojciec odwiózł go osobiście w końcu października w dzień jarmarku na świętego Romana.

Nikt z nas nie potrafiłby dziś przywołać żadnego związanego z nim wspomnienia. Był to chłopak z natury łagodny, bawił się na pauzach, pracował pilnie, na lekcjach uważał, w sypialni spał dobrze, w refektarzu jadł z apetytem. Raz na miesiąc w niedzielę odwiedzał swego opiekuna, hurtownika towarów żelaznych z ulicy Ganterie, który wyprawiał go do portu, by obejrzał sobie statki, a potem o siódmej przed kolacją odprowadzał do gimnazjum. Każdego czwartku wieczorem pisał długi list do matki czerwonym atramentem i pieczętował trzema opłatkami, potem przeglądał notatki z historii albo czytał stary tom *Anacharsis* ponieważ się w sali, gdzie odrabialiśmy lekcje. Na spacerze gawędził ze służącym, który podobnie jak on pochodził ze wsi.

Dzięki swej pilności należał do uczniów średnich, a nawet raz udało mu się być pierwszym z przyrody. Ale z końcem trzeciego roku rodzice odebrali go ze szkoły, by kształcił się na lekarza, przekonani, że sam dobrnie jakoś aż do egzaminu końcowego.

Matka wynajęła mu pokój na czwartym piętrze przy ulicy Eau-de-Robec, u znajomego farbiarza. Omówiła z gospodarzem warunki, zdobyła meble, stół i dwa krzesła, sprowadziła ze wsi stare wiśniowe łóżko, kupiła mały piecyk żelazny i zapas drzewa, by ciepło było jej biednemu dziecku. Potem z końcem tygodnia wyjechała, udzielając mu tysięcznych przestróg, gdyż teraz miał już być pozostawiony samemu sobie.

Program wykładów przeczytany na afiszu oszołomił go zupełnie: wykłady z anatomii, z patologii, z fizjologii, z farmacji, wykłady z chemii i botaniki, ćwiczenia w klinice, terapeutyka, nie licząc już higieny i poszczególnych gałęzi medycyny, wszystkie te nazwy, których etymologia była mu zupełnie obca, wydawały mu się wrotami do sanktuariów pełnych mrocznego dostojęstwa.

Nic nie rozumiał. I chociaż słuchał pilnie, nie mógł się w niczym połapać. Pracował jednak, miał oprawione zeszyty, chodził na wszystkie wykłady, nie opuścił ani jednego ćwiczenia. Wykonywał drobne zajęcia codzienne jak koń w kieracie, który kręci się w kółko z zasłoniętymi oczyma, nie wiedząc po co.

Żeby mu zaoszczędzić wydatków, matka posyłała mu co tydzień kawał pieczonej cielęciny, którą zjadał po powrocie ze szpitala, stukając miarowo podeszwą o ścianę. Potem musiał biec na wykłady do kliniki i wracał, przemierzwszy wszystkie ulice. Wieczorem, po skromnej kolacji u gospodarza, szedł do swego pokoju i zabierał się znów do pracy w wilgotnym ubraniu, które parowało na ciele przy rozgrzanym do czerwoności piecyku.

W piękne wieczory letnie, kiedy ulice, ciepłe jeszcze, pustoszeją, a w bramach przed domami służące grają w wolanta, otwierał okno i wspierał się na łokciu. W dole, tuż pod nim, płynęła między mostami i śluzami żółta, fiołkowa i niebieska rzeka, zmieniając tę dzielnicę Rouen w plugawą miniaturę Wenecji. Robotnicy przykucnięci na brzegu myli ręce. Na tyczkach przytwierdzonych wysoko u poddaszy suszyły się na wietrze motki bawełny. Na wprost okna, poza dachami, rozciągało się wielkie czyste niebo z czerwonym

zachodzącym słońcem. Jak dobrze musiało być tam! Jak świeżo w bukowym gaju! Rozdymał nozdrza, by chłonąć miłe, niedocierające doń zapachy wsi. Schudł, wyciągnął się, twarz jego przybrała jakiś bolesny, niemal interesujący wyraz.

Zaniedbał się, nie czuł się już związany dawnymi postanowieniami. Raz opuścił ćwiczenia, nazajutrz wykład i rozkoszując się lenistwem, nie powrócił już do pracy.

Zaczął chodzić po knajpach i namiętnie grywał w domino. Zamknął się co wieczór w brudnym lokalu, rzucać na marmurowy blat małe baranie kostki, znaczone czarnymi punktami, wydawało mu się cennym aktem stwierdzającym jego niezależność i wzbudzało szacunek do samego siebie. Było to jakby wtajemniczenie w sprawę tego świata, dorwanie się do zakazanych rozrywek. Gdy wchodząc, kładł rękę na kłamec, doznawał rozkoszy niemal zmysłowej. Objawiło się w nim wówczas wiele tłumionych dotąd skłonności. Porzywał go Béranger, nauczył się rozmaitych piosenek, które występował przygodnym znajomym, robił poncz i poznał wreszcie miłość.

Dzięki tego rodzaju pracom przygotowawczym ściał się na egzaminie. A w domu tegoż dnia wyczekiwano nań, by uczcić jego sukces!

Ruszył piechotą, przystanął na skraju wsi, posłał po matkę i opowiedział jej całą prawdę. Przebaczyła mu, zrzucając całą winę na profesorów i oskarżając ich o niesprawiedliwość, uspokoiła trochę i obiecała rzecz załatwić. Pan Bovary dowiedział się prawdy dopiero pięć lat potem, ale że zdążyła się już do tego czasu postarzyć, nie przejął się nią zbytnio. Zresztą nie dopuszczał nawet myśli, żeby jego potomek mógł być głupcem.

Karol zabrał się znów do roboty i pracując bez wytchnienia, uczył się wszystkiego na pamięć. Zdał z dość dobrym wynikiem. Cóż to był za piękny dzień dla jego matki! Wydała wspaniały obiad.

Gdzie będzie praktykował? W Tostes. Był tam tylko jeden stary lekarz. Od dawna pani Bovary czyhała na jego śmierć. Starowina nie zwinął jeszcze manatków, a już Karol osiedlił się naprzeciw niby spadkobierca.

Nie dość jednak było wychować syna, wykształcić go na lekarza i wynaleźć dobrą praktykę w Tostes, należało go jeszcze ożenić. Toteż znalazła mu żonę: wdowę po komorniku z Dieppe. Miała ona czterdzieści pięć lat i tysiąc dwieście franków renty.

Pani Dubuc, choć brzydka, sucha jak szczapa i cała w pryszczach jak wiosną drzewo okryte pąkami, miała licznych konkurentów. Stara Bovary, by dopiąć celu, potrafiła wszystkich uprzedzić i nawet zręcznymi intrygami udało się jej pokrzyżować plany popieranego przez księży rzeźnika.

Karol widział w małżeństwie zmianę na lepsze. Myślał, że będzie miał więcej swobody i stanie się wreszcie panem swej osoby i swych pieniędzy. Ale panią była żona; dyktowała, co ma mówić, a czego nie mówić, kazała pościć w piątki, ubierać się wedle jej upodobań i dręczyć upomnieniami pacjentów, którzy zalegali z opłatą. Otwierała jego listy, śledziła każdy krok, a kiedy w gabinecie lekarskim przyjmował kobiety, podsłuchiwała przez cienkie przepierzenie.

Rano na pierwsze śniadanie żądała czekolady. Wymagała rozmaitych względów, aż do znudzenia. Skarżyła się ustawnie na nerwy, na płuca, na zawroty głowy. Drażnił ją odgłos kroków, a gdy zostawała sama – przerażała samotność.

Jeśli odwiedził ją kto, ach! to chyba po to, by zobaczyć jej śmierć. Wieczorem, gdy wracał Karol, wyciągała spod kołdry długie, chude ramiona, zarzucała mu je na szyję, prosiła, by usiadł na brzegu łóżka, i zaczynała się skarżyć: zapomniał o niej, kocha inną! Przepowiedziano jej wszak, że będzie nieszczęśliwa! Kończyło się zwykle na tym, że prosiła o jakiś syrop i o trochę więcej miłości.

II

Pewnej nocy około jedenastej obudził ich tętent konia, który zatrzymał się tuż pod bramą. Służąca otworzyła okienko na poddaszu i pertraktowała przez chwilę ze stojącym na ulicy człowiekiem. Przyjechał po lekarza. Miał list. Nastazja, drżąc z zimna, zbiegła ze schodów i otworzyła jedne po drugich zamki i zasuwę. Poślaniec zostawił konia i wraz ze służącą zjawił się nagle w pokoju. Z wełnianej czapki przybranej szarymi chwastami wyjął list zawinięty w szmatkę i podał go nieśmiało Karolowi. Nastazja stała przy łóżku ze świecą. Karol, wsparty łokciem na poduszce, czytał, a pani skromnie odwróciła się do ściany, pokazując plecy.

W liście opatrzonym błękitną woskową pieczętką błagano pana Bovary, by niezwłocznie przyjechał do Bertaux zestawzić złamaną nogę. Otóż z Tostes do Bertaux są trzy dobre mile drogą przez Longueville i Saint-Victor. Noc była ciemna. Pani Bovary obawiała się, że mąż ulegnie jakiemuś wypadkowi. Postanowiono więc, że chłopak stajenny pojedzie przodem, a Karol wyruszy trzy godziny później, gdy wszędzie księżyc. Na spotkanie mieli wysłać z fermy chłopca, który wskaże mu drogę i otworzy wrota.

O czwartej nad ranem Karol otulony w płaszcz ruszył do Bertaux. Rozgrzany jeszcze ciepłem snu, dał się wkrótce

ukołysać łagodnym truchtem spokojnego zwierzęcia. Ilekroć koń zatrzymywał się przed dołami opasanymi cierniem, które chłopci zwykli kopać wzdłuż zaoranego pola, budził się nagle, przypominał sobie szybko złamaną nogę i usiłował odświeżyć w pamięci wszystko, co wiedział o podobnych wypadkach. Deszcz ustał, świtało; na ogołoconych gałęziach jabłoni siedziały skulone ptaszki, a chłodny wiatr poranka jeżył ich maleńkie piórka. Jak okiem sięgnąć rozciągała się płaszczyna; na olbrzymiej szarej przestrzeni gubiącej się pod mrocznym niebem rysowały się na horyzoncie z rzadka rozsiane, ciemnofiołkowe kępy drzew wokół ferm. Karol czasami otwierał oczy, ale po chwili znużenie i senność pogrążały go w rodzaj drzemki, w której ostatnie wrażenia mieszały mu się z odległymi wspomnieniami, rozdawał się, był równocześnie studentem i człowiekiem żonatym, widział siebie leżącego w łóżku, jak przed chwilą, i przebiegającego salę operacyjną, jak przed laty. Zapach ciepłych kataplazmów mieszał mu się ze świeżym zapachem rosy; słyszał metaliczny szczełk łóżek przetaczanych po szpitalnym korytarzu i oddech śpiącej żony... Przejeżdżając przez Vassonville, spostrzegł tuż nad rowem siedzącego na trawie chłopca.

– Czy to pan jest lekarzem? – spytał dzieciak, a na twierdzącą odpowiedź Karola chwycił w rękę saboty i zaczął biec przed koniem.

Lekarz, gawędząc ze swym przewodnikiem, dowiedział się, że pan Rouault, jeden z najbogatszych rolników w okolicy, złamał nogę onegdaj, wracając wieczorem od sąsiada, gdzie „świętowali Trzech Króli”. Żona jego umarła przed dwoma laty. Mieszkał teraz sam z „panienką”, która pomagała mu w domowym gospodarstwie.

Koleiny wrzynały się coraz głębiej w drogę. Zbliżali się do Bertaux. Chłopak znikł w dziurze żywopłotu, a po chwili zjawił się już od strony podwórza i otworzył wrota. Koń ślizgał się na mokrej trawie. Karol schylił głowę, przejeżdżając pod gałęziami. Psy podwórzowe ujadły przy budzie, rwąc się na łańcuchach. Gdy wjechał do Bertaux, koń jego spłoszył się i dał potężnego susa w bok.

Ferma była dobrze zagospodarowana. Przez otwarte wrota stajni widać było rosłe konie robocze wyjadające spokojnie siano z nowych drabek. Wzdłuż budynków, nad dużymi kupami nawozu unosił się lekki, błękitnawy opar; wśród kur i indyków przechadzało się pięć czy sześć pawi, chluba normandzkich podwórek. Owczarnia była długa, sto- doła wysoka o ścianach gładkich jak dłoń. Pod szopą stały dwa duże wozy i cztery pługi z całym ekwipunkiem chomąt i batów. Błękitne wołokowe podbicie uprząży przybrudzone było trochę cienką warstwą pyłu prószącego ze strychu. Podwórze wysadzone w równych odstępach drzewami wznosiło się z lekka, a nad sadzawką rozlegało się wesole gęganie stadka gęsi.

Na spotkanie pana Bovary wyszła na próg młoda kobieta w niebieskiej wełnianej sukni, przybranej trzema falbanami; wprowadziła go do kuchni, gdzie płonął wielki ogień. Do- koła w garnuszkach rozmaitych kształtów bulgotało śnia- danie czeladzi. Nad kominem suszyła się wilgotna odzież. Łopatka, szczypta i rurka od miechu (wszystko olbrzymich rozmiarów) lśniły jak wypolerowana stal, a w baterii poro- wieszanych na ścianach rondli odbijał się jasny chybotliwy płomień ogniska i pierwsze blaski słońca wpadającego przez kwadratowe szybki.

Karol wszedł na piętro do pokoju chorego; ten leżał spoczywony pod kołdrami, odrzuciwszy daleko bawełniany czepek. Był to mały, gruby człowieczek lat pięćdziesięciu, o jasnej cerze i błękitnych oczach, dobrze wyłysiały i z kolczykami w uszach. Tuż przy łóżku na krześle stała duża karafka wódki, z której pociągał raz po raz dla dodania sobie otuchy. Gdy zobaczył lekarza, opuściło go podniecenie i zamiast kląć, jak czynił to od dwunastu godzin, zaczął pojękiwać z cicha.

Złamanie było proste, bez żadnych komplikacji. Karol nie mógłby sobie życzyć łatwiejszego. Przypominając więc sobie, jak jego mistrzowie zwykli się byli zachowywać przy łóżku rannych, zaczął pocieszać chorego. Bo jak lancet oliwy, tak pacjent potrzebuje czułych słów chirurga. Posłano do wozowni po deszczułki, by sporządzić łubki. Karol wybrał jedną, pociął na kawałki i wygładzał odłamkiem szkła, tymczasem służąca darła prześcieradło na bandażę, a panna Emma przygotowywała poduszeczki. Ale że marudziła długo, zanim znalazła pudełko do robót, ojciec zniecierpliwił się; nic nie odpowiedziała, ale szyjąc, kłuła się w palce i podnosiła je potem do ust, by wyssać krew. Karol był zaskoczony połyskiem jej paznokci. Cieniutkie, błyszczące, wypolerowane staranniej niż kość słoniowa z Dieppe, miały kształt migdału. Ręka jej jednak nie była ładna, nie dość biała, w stawach może zbyt sucha, trochę za długa, brakło jej też miękkości w rysunku. Za to oczy miała naprawdę piękne; piwne, wydawały się niemal czarne, tak były ocienione rzęsami, i rzucały wprost przed siebie śmiałe spojrzenia pełne naiwnej zuchwałości.

Po skończonym opatrunku pan Rouault poprosił lekarza, aby przed odjazdem zechciał coś przegryźć.

Karol zszedł do dużej izby na parterze. U stóp łóżka, o perkalowym, wzorzystym baldachimie w tureckie desenie, na małym stoliczku zastawione były dwa nakrycia ze srebrnymi kubkami. Z wysokiej dębowej szafy stojącej na wprost okna dolatywał zapach irysów i wilgotnych prześcieradeł. W rogach pokoju ustawione były worki zboża, które nie mogło pomieścić się na pobliskim strychu, dokąd wiodły trzy kamienne schodki. Dla ozdoby na zielonej, spękanej od wilgoci ścianie zawieszona była na gwoździu głowa Meduzy w złotej ramie, wyrysowana czarnym ołówkiem i nosząca u dołu wykaligrafowany gotykiem napis: „Mojemu drogiemu ojcu”.

Rozmawiali o chorym, o pogodzie, o strasznych chłodach i wilkach, które nocami nawiedzały pola. Panna Rouault nie lubiła wiejskiego życia, tym bardziej że teraz prawie sama musiała prowadzić całe gospodarstwo. Zimno było, więc dygotała, jedząc, i rozchylała przy tym swe mięsiste wargi; kiedy zapadało milczenie, przygryzała je lekko.

Szyja jej wychylała się z białego wykładanego kołnierzyka. Cienki, przez środek głowy biegnący rozdziałek delikatną linią obrysowywał kształt czaszki. Dwa czarne, lśniące, jakby z jednego kruszcu ulane pasma włosów, spod których wysuwały się tylko koniuszki jej uszu, spływały ku tyłowi w obfity węzeł, falując lekko na skroniach w sposób, który wiejski lekarz widział po raz pierwszy w życiu. Policzki jej były różowe. Między dwa guziki stanika, jak u mężczyzny, wsunięte były szkła w szylkretowej oprawie.

Karol poszedł na górę pożegnać się z panem Rouault. Kiedy wrócił do izby, panna Emma stała przy oknie oparta czołem o szybę i patrzyła na tyczki fasoli, które wiatr po-przewracał w ogrodzie.

– Szuka pan czegoś? – spytała.

– Tak, pani, szukam szpicruty.

Zajrzał pod łóżko, potem za drzwi, pod krzesła. Tymczasem panna Emma dostrzegła ją na ziemi, między ścianą a workami; schyliła się. Karol pośpieszył uprzejmie, wyciągnął rękę w tym samym kierunku i musnął przy tym plecy pochylonej przed nim dziewczyny. Wyprostowała się cała zarumieniona i spoglądając na Karola przez ramię, podała mu pejcz.

Zamiast za trzy dni, jak obiecywał, wrócił do Bertaux już nazajutrz, a potem regularnie odwiedzał ich dwa razy na tydzień, nie licząc przypadkowych wizyt.

Wszystko zresztą układało się jak najpomyślniej. Kuracja okazała się prawidłowa i pan Rouault szybko wracał do zdrowia. Kiedy po czterdziestu sześciu dniach zaczął o własnych siłach przechadzać się po swej, jak ją nazywał, ruderze, uznał pana Bovary za bardzo zdolnego człowieka. Stary Rouault mówił, że najlepsi lekarze z Yvetot i z Rouen nie potrafiliby go lepiej wykurować.

Karol nie zastanawiał się, dlaczego z taką przyjemnością jeździ zawsze do Bertaux. A gdyby nawet pomyślał o tym, gorliwość swą przypisałby zapewne temu, iż wypadek był poważny, lub też nadziei zysku. Czy dlatego jednak wizyty te wydawały mu się na tle jednostajnych zajęć codziennych wyjątkowo miłą rozrywką? W owe dni wstawał wcześniej, wyruszał galopem, nie szczędząc konia, potem przed bramą zsiadał, wycierał buty o trawę i wkładał czarne rękawiczki. Z przyjemnością wjeżdżał w podwórze. Lubił opierać się ramieniem o rozchylające się wrota, lubił koguta piejącego na parkanie i nadbiegających mu na spotkanie chłopców

do posług. Lubił stodołę i stajnie. Lubił ojca Rouault, który klepał go po ramieniu i nazywał swoim zbawcą. Lubił małe saboty panny Emmy na kamiennych, czysto wymytych płytach kuchni. Wysokie obcasy dodawały jej wzrostu, a kiedy szła przed nim, drewniane podeszwy, podnosząc się szybko, stukwały o skórzany spód trzewików.

Odprawiała go zawsze na ganek do pierwszego schodka. Czekwała, aż przyprowadzą konia. Już się byli pożegnali. Stała, milcząco, owiana rzeźwym podmuchem; małe, figlarne, wymykające się loczki poruszały się lekko na wietrze, a tasiemki związanego w pasie fartucha furkotały jak chorągiewki.

Pewnego razu, gdy była odwilż i kora drzew ociekała wilgocią, a śnieg topił się na dachach, wróciła od progu po parasolkę. Słońce, przenikając przez szarobłękitny, mieniący się jedwab, rzuciło ruchome plamy na jej blade policzki. Uśmiechała się spod parasolki do łagodnego ciepła i słychać było, jak krople wody, jedna po drugiej, uderzały o napiętą morę.

Gdy Karol zaczął bywać w Bertaux, młoda pani Bovary wypytywała go z początku o zdrowie chorego i nawet w książce rachunkowej o podwójnej buchalterii wybrała dla pana Rouault piękną białą kartę. Ale kiedy doszła ją wiadomość, że ma on córkę, sięgnęła po bliższe informacje; dowiedziała się wówczas, że panna Rouault, wychowana w klasztorze urszulanek, otrzymała staranne wykształcenie, to znaczy uczyła się geografii, tańca, rysunków, umiała haftować i grać na fortepianie. To już było ponad jej siły!

„Więc to dlatego on tak promienieje – myślała – dlatego, kiedy jedzie do niej, wkłada nową kamizelkę, nie zważając

nawet na deszcz, który może ją zniszczyć? Ach, ta kobieta, ta kobieta...”

Powzięła do niej instynktowną nienawiść. Z początku pozwalała sobie na aluzje, których Karol wcale nie rozumiał, potem na złośliwe przycinki; puszczał wszystko mimo uszu, obawiając się burzy. Wreszcie spytała wprost, bez ogródek, czemu jeździ do Bertaux, skoro pan Rouault jest już zdrowy, a „ci ludzie” nie raczyli mu dotąd zapłacić. Ach, to zapewne dlatego, że jest tam pewna osoba, która umie go pięknie bawić rozmową, hafciarka, mądrała. Ach, więc to tak, trzeba mu panien z miasta! I dodawała zaraz:

– Córka starego Rouault, miejska panienska! Cóż znowu! Dziadek ich był pastuchem i mają krewniaka, który o włos, a miałby sprawę sądową za pobicie. Nie ma się z czego puszyc i pokazywać w kościele w jedwabnych sukniach, jak hrabianka. Zresztą biedny stary, gdyby nie zesłoroczna kapusta, byłby w wielkim kłopotcie, nie miałby nawet czym spłacić zaległych rat dzierżawnych.

Karol dla świętego spokoju zrezygnował z wizyt w Bertaux. W porywie miłości, szlochając i całując go na przemian, Heloiza kazała mu przysiąc z ręką na księżce do nabożeństwa, że już tam nigdy nie wróci. Ale namiętne pragnienie buntowało się w nim przeciw tej uległości i z naiwną hipokryzją wierzył, że zakaz odwiedzania Emmy daje mu prawo kochania jej. A przy tym wdowa była chuda, miała długie zęby i niezależnie od pory roku nosiła zawsze tę samą czarną chustkę, której spiczasty koniuszek zwieszał się między łopatkami, a sztywną jej kibić obciskała przykrótka suknia na kształt futerału, odsłaniając czarne, szerokie, skrzyżowane w kostkach wstążki trzewików i szare pończochy.

Matka Karola odwiedzała ich czasem. Ale synowa potrafiła już po paru dniach naostrzyć ją przeciw Karolowi jak brzytwkę. Prześcigały się w robieniu mu uwag, nie szczędząc złośliwych przycinków. Nie powinien jadać tak wiele! I po co to pierwszego lepszego częstować wódką? Nie nosi ciepłej bielizny? Co za upór!

Zdarzyło się z początkiem wiosny, że rejent z Ingouville, u którego złożone były fundusze pani Dubuc, popłynął z pomyslnym wiatrem, wywożąc powierzone mu kapitały. Heloiza była wprawdzie współwłaścicielką statku, ocenianego na sześć tysięcy franków, i domu przy ulicy Franciszkańskiej; jednak z całego tak osławionego majątku nie wniosła do wspólnego gospodarstwa nic prócz paru sprzętów i kilku szmat. Należało rzecz wyjaśnić. Dom w Dieppe okazał się zzarty hipotekami aż do fundamentów. Bóg jeden wiedział, ile złożone miała u reagenta, a udział w statku nie przekraczał tysiąca talarów. Kłamała więc jejmość!

W porywie gniewu, grzmotnąwszy krzesłem o podłogę, pan Bovary oskarżył żonę, że unieszczęśliwiła syna, sprzęgając go ze starą szkapą, której skóra niewarta była wyprawy. Przyjechali do Tostes. Rozmówili się. Doszło do burzliwych wyjaśnień. Heloiza z płaczem rzuciła się mężowi na szyję, zaklinając go, by bronił ją przed rodzicami. Karol ujął się za nią. Obrazili się więc i odjechali.

Ale cios był zadany. Tydzień potem dostała krwotoku, rozwieszając bieliznę na podwórku, a nazajutrz, kiedy Karol odwrócony plecami zaciągał firankę w oknie, powiedziała: „Ach! Mój Boże!”, westchnęła i zemdląła. Nie żyła! Co za dziw!

Kiedy Karol wrócił z cmentarza do domu, nie zastał na dole nikogo. Poszedł na piętro do swego pokoju. W alko-

wie wisiła jeszcze jej suknia; oparł się o biurko i pogrążony
w bolesnej zadumie przesiadzał tak do wieczora. Kochał
go jednak!